

Izabela Szolc

Tri-Tarngiri

I

Ryby wysypano z sieci wprost na pokład, nie było ich wiele. Poruszały spazmatycznie drobnymi pyszczkami, na których obsychały w upale krople życiodajnej wody.

– Szkoda ci ryb? – Irlandczyk stał tuż za nim. – Żałujesz, że umierają?

– Tak.

– Ale będziesz je jadł?

– Zjem.

– Mały?

– Jestem Brendan.

– To od morza. Morze pozwoliło nam je wziąć.

Gdyby było inaczej, my bylibyśmy martwi, tam, w głębinie – splunął w fale, ale zaraz potem uśmiechnął się do nich, jakby były żywymi istotami. Wiatr dał słabo, więc nie sięgały ponad wolną burtę „Catherine”.

– Dla ryb to żadna różnica, Alain...

– Jesteś baba, mały – zmarszczył brwi. Oblicze miał wypalone przez sól i pocięte pajęczyną płytkich zmarszczek. – Gilles nie powinien zabierać na kuter baby. To może przynieść... – zamilkł w porę, by nie kusić losu i popatrzył na szypra, który naprawiał coś przy sieciach.

– Mój ojciec był rybakiem. I matka uprosiła Gillesa, aby mnie zabrał. Uważa, że dorosłem do morza.

– Kłamała. Nie powinien cię zabierać.

– Długo będziecie gadać, nieroby?! – dobiegło do nich. – Pomóżcie Simonowi zapelniać ładownię.

– *Ach Simon, Simon, piękny Simon!* – zanucił Irlandczyk.

– Zamknij się – powiedział bez gniewu Gilles.

Brendan zacisnął dłonie na grubym szocie. Zrobił to z całych sił, aż pobieleły mu knykie.

* * *

Na pierwszy rzut oka morze było puste, jednak chłopiec naprawdę miał bystry wzrok.

Możliwe, że wypatrzony na horyzoncie punkcik z biegiem czasu okaże się bliźniaczym, bretońskim kutrem.

Mewy opuściły ich późnym rankiem, bo wypłynęli już zbyt daleko. Wyruszyli na połów dorsza, choć jak dotąd w sieciach znajdowali tylko sole i sardynki. Wiatr wciąż szedł od wybrzeża – wystarczający, by na poły zbrasowane żagle wypychały jednak „Catherine” coraz głębiej w błękitnożółtą pustkę otwartego oceanu.

– Chodźże, mały – Alain pstryknął chłopca w tył ogolonej głowy.

* * *

Zmatowiałe oczy martwych ryb nasuwały na myśl guziki, w które dzieciarnia grała przed wojną. Brendan też uwielbiał tę zabawę, choć wśród tych ludzi nigdy by się do tego nie przyznał. Rozpamiętywanie przeszłości jątrzyło ledwo zasklepione rany. Czasy zmieniły się bardziej, niż ktokolwiek się spodziewał, chociaż jemu dni sprzed okupacji kojarzyły się tylko z lodami na patyku, podrapanymi kolanami i poczuciem błogości, będącej darem dziecięcego wieku.

– Chciałem być żołnierzem...

– Musiałbyś mordować, i to nie ryby.

– Bałem się, że mogą mnie zabić. To wstrętne.

– Twoja matka by oszalała.

– Tak, ale to byłby MÓJ wybór.

– Właśnie dlatego – wtrącił Simon, nie przestając zrzucać ryb do ładowni.

Brendan zamyślił się.

– Gilles i ojciec walczyli razem w pierwszej wojnie, pod Ypres. Znali się dobrze.

– No pewnie. Inaczej nie wziąłby takiej cipy na pokład. Urodzić się synem rybaka to jeszcze nie wszystko – Irlandczyk mówił to powoli.

Chłopak zagryzł wargi.

– A ty Alain, byłeś w wojsku? – spytał wreszcie.

Zapytany nie odezwał się słowem.

– Walczył, tylko że nie po tej stronie – odparł za niego Simon. Miał nerwowy tik: co rusz poprawiał drucziane okulary, obejmujące delikatnie długi i cienki nos.

– Mieliśmy własne potrzeby. Reszta nas nie dotyczyła.

– No pewnie! To była wojna Żydów, Niemców i Polaków!

– Pieprzysz! Nie rób chłopakowi sieczki z mózgu.

– To nie dzieciak – Simon oparł rękę na ramieniu chłopca. – Jesteś dorosły, Brendan, co? No, ileś młodszy ode mnie? O siedem lat? Dziewięć? Nie, nie wierzę, że o dziewięć. Nie jesteś dzieckiem, inaczej by cię tu z nami nie było...

Alain cisnął drewnianą szuflę zapapraną rybimi resztkami i zniknął w rufówce. Gilles, który grzebiąc w odkrytym silniku, dyskretnie przysłuchiwał się rozmowie, wyszczerzył zęby:

– A teraz, mądralo, będziecie zapierdalać i za niego!

* * *

– Czemu matka chce, byś był rybakiem? – Simon zasunął pokrywę.

– Mówi, że tak trzeba ze względu na ojca, na pamięć.

– O, pamięć to bardzo destruktywna rzecz – sięgnął do okularów. – Ja sam chciałbym nie pamiętać niczego... Ale ja jestem Żydem, u nas pamięć przekształciła się w dominujący organ.

* * *

Dostrzeżony wcześniej kuter pod wieczór był już widoczny jak na dłoni. Nazywał się „Contessa”.

– A żeby ich! – Gilles oparł się o nadburcie. – Hiszpan!

– Znów są, sukinsyny! – prychnął Simon.

– Co to za jedni? – chłopak wyęzał wzrok.

– Kradną nasze ryby!

– Łowią na naszych wodach terytorialnych, złodziejskie pomioty – wyjaśnił dokładniej Gilles.

– Sucze syny... – wychrypiał Irlandczyk, którego zwabiły na pokład okrzyki. Oczy miał jeszcze maślane od głębokiego snu. – Coś gadają!

Wiatr ucichł. Morze stało nieruchomo i większość wywrzaskiwanych po hiszpańsku okrzyków docierała na „Catherine”.

– No, co oni gadają, hę?!

– Wyklinają nas, Alain.

– Jak?!

– Coś taki ciekawy? – Gilles uśmiechnął się pod płowym wąsem. – Przeklinają i już.

– Też chciałbym wiedzieć – Brendan wychylił się i w obelżywym geście zgiął rękę. Kiedy pomyślał co powiedziałaaby matka, zaczerwienił się. Równocześnie odczuł paradoksalną ulgę, że jej tu nie ma.

– No, co oni mówią! – dopytywał się natarczywie Irlandczyk.

– Plują w mleko naszych matek – przetłumaczył Simon. – Jesteś pewien?!

– To ich narodowe powiedzenie: *Liberte, egalite, fraternite!*

Hiszpański kuter uruchomił jazgoczący silnik.

– Sukinsyny!

– Za nimi Gilles, za nimi! – Irlandczyk wałnął szypra w plecy. – Włączaj tę swą piekielną maszynę i jazda.

Nabluzgam im w te mordy!

– „Catherine” to żaglowiec, Alain – rzekł szyper.

– Co ty mi tu pieprzysz! – No to popatrz... Jak jeden mąż nachylili głowy nad otwartą klapą silnika. Simon pociągnął nosem:

– Trochę ci benzyny pociekło, Gilles.

– Grzebałeś w nim i...

– Mówiłem, że to żaglowiec.

– Jezu, jesteś pieprznięty relik, wiesz? Wałnięty romantyk!

– *Szedł z wiatrem, po fali, na bryzgach pian Aż stado delfinów porwało łódź w tan...* – zanucił Gilles. „Contessa” była już daleko.

– Ty, ty... – Alain zaciskał pięści.

Szyper pocałował go w czubek głowy, w rzednące włosy:

– Dziś wachta łamana!

– Czyś ty ocipiał?! Wachta na „Catherine”?!

– Chłopak będzie z tobą. Naucz go, co znaczy żeglować. Załoga! Kotwica w dół! Zobaczmy, co się złapało.

II

Ascensio Brenaind in curru suo in aerem (...)

Niebo było zachmurzone. Walcząc z narastającą sennością, Brendan wpatrywał się w otulającą wszystko, atramentową pustkę. Fascynowała go i napawała lękiem.

– Czemu nie otwierasz japy, kiedy chcę pogadać? – Irlandczyk stał na dziobie i sikał.

– Plujesz w to morze, szczasz w nie...

– Aleś się zrobił wyszczekany! Ty pewnie lejesz do butów?!

– Myślałem, że wy je kochacie.

Alain bacznie przyjrzał się Brendanowi:

– Jak kogoś kochasz, też mu robisz różne świństwa – powiedział. – Moje siki morzu jeszcze nie zaszkodziły.

– Wiem, przepraszam, plotę bzdury. Tamten uśmiechnął się:

– A jak sobie spuścisz z krzyża, to i syrena do ciebie wypłynie. Żadna baba nie zrobi tak jak ona! I piękna jest bestia, piękna!

Brendan przysunął się, by lepiej słyszeć.

– Wierzysz w syreny? – spytał.

– Wierzę. – Naprawdę?!

– Czemu nie? Diabli wiedzą jakie lichy żyje w morzu.

– Chciałbym zobaczyć syrenę.

– No, mały, nie krępuj się. Nawet się odwrócę, choć ciemno dziś jak w murzyńskiej dupie...

Nagle dobiegł ich hałas spod pokładu – krzyki i odgłosy uderzeń.

– Nie upilnowałem – zachnął się Irlandczyk. – Biją się, sukinsyny!

Ruszył do kubryku, a chłopak pognął za nim.

* * *

Nie wyglądało to najlepiej: Gilles siedział okrakiem na koguciej piersi Simona i okładał go pięściami, przed którymi tamten nieporadnie się osłaniał. Szyper miał rozbity nos.

– Przypieprzył ci, co Gilles?! – Irlandczyk próbował rozdzielić walczących. – Zostaw go!

Brendan przyglądał się bezradnie.

– No, smarku – warknął Alain. – Będziesz się tak gapił?!

– Gilles, przestań! Proszę, przestań – chłopak nieśmiało zrobił kilka kroków. Był zdezorientowany i nic nie rozumiał.

– Nie przestanę! Simon uważa, że wszystko stało się z mojej winy! I ma rację! – wyprowadził szybki i celny cios. – Nie powinienem puszczać mojej siostrzyczki do Paryża! Tacy jak ty... – następne uderzenie zostało powstrzymane przez Irlandczyka. – Jak ty, Simon! Tacy zrobili z niej kurwę!

– To była moja żona – wycharczał Simon. – Ona była moją żoną!

Alain zakrzętnął się szybko i wychlusnął na leżącego kubeł lodowatej wody.

Pobity wolno wracał do siebie.

– Catherine chciała być wolna... Zabroniliśmy jej tego... Obaj...

Szyper zaciskał pięści, ale nie poruszył się.

– Zatlukę cię kiedyś... – Simon splunął krwią.

Zamknął oczy.

– Alain, zrób coś z tym człowiekiem – poprosił spokojnie Gilles. Skrzywił się, dotykając krwawiącego nosa. – A ty, synu, wszystko migiem sprzątnij i wyczyść. Ja idę spać.

Wyszedł w kompletnej ciszy.

– Złap mnie lepiej za ramię – Alain stanął obok Simona. – A ty nie słyszałeś? Do roboty! – schylił się lekko, by pomóc niższemu koledze. Coś niewielkiego wysunęło się z jego kieszeni na piersi i stuknęło delikatnie, upadając na deski. Irlandczyk nie zauważył straty.

III

Wykonali wszystko zgodnie z ustalonym porządkiem dnia i wszyscy z wielką ochotą podążyli odmówić komplety. Kiedy zaś opat zaczął werset komplety, to znaczy: „Boże, ku wspomżeniu memu” i równocześnie oddał cześć Trójcy Świętej, wtedy oni rozpoczęli śpiewać ten werset od słów: „Niesprawiedliwie uczyniliśmy, nieprawość popełniliśmy. Ty, który jesteś Ojcem Łaskawym, przebacz nam, Panie. Niech zasną natychmiast i odpoczywam w pokoju, ponieważ Ty, Panie, w niezwyklej nadziei mnie pozostawiłeś”. (...)

Alain wrócił do kubryku i, wyraźnie zmęczony, ciężko opadł na krzesło:

– No i jak, mały?

– Prawie skończyłem – szorował właśnie ostatnią deskę. – A Simon?

– Nic mu nie jest.

– Aha – mruknął chłopak.

– Aleś ty nachmurzony – mężczyzna rzucił mu kosę spojrzenie. – Chcesz się napić? – Wstał i sięgnął do szafki po butelkę jabłecznika. – Całą rybę zeżarli? – zapytał, napełniając dwie szklanki.

– Nie. Cotriade jeszcze stoi – Brendan zrobił nieokreślony gest ręką.

– A w cholerę, nie jestem głodny – Alain stał odwrócony tyłem do chłopaka. – No, coś taki nie w sosie? To nie twoje problemy.

– Prawie zepsuli patefon... I potłukli płytę – wskazał w kąt, gdzie na schludnej kupce leżały kawałki czarnego krążka. – Tyle że jest jeszcze jedna, taka sama.

Też Piaf – zdziwiony uniósł brew. – Mieli szczęście.

– Może i szczęście...

– O co poszło? – Brendan jednym haustem opróżnił szklanicę. Cidre miało łagodny smak, ale od zapachu kręciło w nosie.

– Simon chciał słuchać Piaf, a Gilles próbował mu w tym przeszkodzić.

– Czemu? I dlaczego targają ze sobą to pudło? – Brendan otarł usta wierzchem dłoni.

– Dla pamięci, mały. Czy ty wiesz, co to jest pamięć?

– Nie – skłamał. – Chyba nie.

* * *

Siedzieli naprzeciwko siebie, twarzą w twarz.

– Gilles nie walczył na wojnie. Twierdził, że guzik go ona obchodzi. Że obchodzi go morze i siostra – wszystko inne miał gdzieś. Całą Wielką Francję czy Rzeszę. Rozumiesz go? Bo ja rozumiem, zbyt dobrze rozumiem... A Simon był inny. Należał do „Wolnych Francuzów”, podobno był blisko de Gaulle’a... Z kolei dla Catherine najważniejsza była wolność, jak już słyszałeś, ale ta inna. Kiedy wściekła się na brata, po prostu uciekła do Paryża. Tam wyszła za Simona. Aha, uwielbiała Piaf, Edith była nawet świadkiem na jej ślubie... Później Catherine chciała sypiać z innymi mężczyznami. Nie mogła zrozumieć, że jest to złe, że nie powinna tego robić. I wtedy nawiązała ów fatalny dla niej romans. To był jakiś Niemiec, oficer... Została osądzona i skazana jako wróg ojczyzny, a doniósł na nią Simon. I umarła, koniec, kropka – westchnął. – Dla brata i męża żyje nadal, może dlatego biją się od czasu do czasu. Catherine jest ich wspólnym wyrzutem sumienia.

– Po co mi to opowiedziałeś?

– Myślałem, że chcesz.

– Nie, nie chciałem.

– W porządku – wstał. – To pójdę się kimnąć, mały.

– A ty? – usłyszał za sobą. – A twoje sumienie?

– Co?

– Zgubiłeś – na dłoni chłopca połyskiwało w świetle lampy faszystowskie odznaczenie.

– Tak... A chciałem dostać Żelazny Krzyż.

– I?

– Za mało się przykładałem. Ta zawierucha naprawdę nie była dla mnie zbyt ważna – takie nic. Obaj z Gillosem jesteśmy Celtami i to nie była nasza sprawa.

Ty też jesteś Celtem, jak każdy Bretończyk – uśmiechnął się, ale oczy pozostały smutne.

– Gilles nie zabijał dla tej „nie waszej” sprawy.

– Co to zmienia... Zabijał wcześniej.

– Nie zabijał naszych – powiedział Brendan.

– Cóż, żołnierzyku. Każdy ma prawo wyboru.

– Masz – chłopak rzucił mu pod nogi blaszkę.

Irlandczyk schylił się po nią, a potem z pietyzmem schował do kieszeni.

– Często nie mogę zasnąć. Wtedy czytam książki.

Mogę ci jakąś pożyczyć.

– Nie.

– Mam „Żeglugę Świętego Brendana”. To jest o tobie, mały. O Wyspach Szczęśliwych, do których dopłynął twój imiennik. O Tir Tarnhiri – na moment zwiesił głowę. – Myślę, że kiedyś każdy... Jeśli tylko Bóg zechce.

– Idź już – poprosił Brendan – Mieszkają tam martwi i jest rozgrzeszenie, wiesz? – No idź...

Irlandczyk kiwnął głową.

– Jak się schlasz, rzygaj za burtę, mały – doradził, wychodząc.

IV

Święty Brendan i jego towarzysze wzięli żelazne narzędzia i zrobili lekki stateczek, mający żebra i ramę z drewna, jak to jest w zwyczaju na tych terenach.

Pokryli go skórami wołów wygarbowanymi w dębowej korze. Wszystkie złączenia skór posmarowali na zewnątrz tłuszczem (...)

Chłopak ocknął się, gdyż coś twardego ścisnęło mu przeponę. Jakaś bratnia dusza przewiesiła go przez nadburcie, fachowo obwiązując liną, aby przy nagłym przechyle nie znalazł się w wodzie. „Dobrze, że nie zapaskudziłem pokładu” pomyślał. Zmaltretowany żołądek zdołał już się uspokoić, ale głowa nadal wściekle pulsowała. Wyschnięte usta przywodziły na myśl Saharę. Świtało, a roziskrzone słońce zdawało się wynurzać wprost z fal. „Jak mam się z tego uwolnić?” – Brendan skubał węzeł skostniałymi, drżącymi palcami.

Potem pierwsza deska wraku stuknęła o burtę „Catherine”.

* * *

Szyper oglądał wyciągnięte szczątki.

– Mało tego... Żaden z nowszych kutrów – nasiąknięte drewno rozpadało mu się w palcach. – Doszczętnie przeżarte przez sól. Morskie śmieci – patrzył na Simona na jego opuchnięte oblicze. Nie było już między nimi złości. – Alain, co tam jeszcze łowisz?

Irlandczyk zapamiętale przebierał w wodzie bosakiem.

– Co? – głos miał zdumiony, podniecony.

– Co łowisz?

– Nic. Tak mi się zdawało... – machnął ręką.

– Dobra, nadam przez radio wiadomość. Diabli wiedzą, może jednak coś się rozbiło – rzekł bez przekonania Gilles.

– Ja to zrobię – zaproponował Irlandczyk.

– To idź. Sprawdź położenie i przekaz im, gdzie jesteśmy. Teraz Brendan dostrzegł to, co Alain próbował wyłowić: poszarpane kawałki skóry obrośnięte morskimi zielskimi.

* * *

– I co, nadałeś? – zagadnął Irlandczyka szyper.

– Tak – odparł Alain. – I sprawdziłem, gdzie jesteśmy. Gdzie możemy być – uśmiechnął się dziwnie.

– Mówili coś ciekawego – dociekał Simon.

– Nie, nic.

– Musiał dawno utonąć – Brendan patrzył, jak wciągnięta przez przypadkowy wir skóra skryła się pod powierzchnią.

– Bardzo dawno – Alain poklepał go po plecach.

V

Pewnego razu, gdy święty Brendan na swoim statku obchodził uroczystość świętego Piotra Apostoła, morze stało się tak klarowne, że mogli widzieć to, co znajduje się na dnie. Gdy więc spojrzeli w dół w głębinę, ujrzeli różnego rodzaju potwory leżące na piasku. Wydawało im się nawet, że mogliby ręką je dosięgnąć; tak wielka była przezroczystość tego morza. Wyglądały te monstra jak owce leżące na pastwisku. Z powodu ich wielkiej liczby wyglądały jakby jakieś zbiorowisko ułożone w krąg, gdyż leżące jedne dotykały głowami tyłów innych zwierząt (...)

Zapowiadał się piękny dzień. Łagodny zefir wprawiał zmęczoną upałem załogę w dobry nastrój.

– Brendan, kotwica w górę! – nakazał szyper.

– Tak jest! – chłopak złapał za kabestan.

Stalowa lina, postukując i rozchlapując wodę, zaczęła nawijać się na bęben.

– Idzie! – zdążył wykrzyknąć nim poczuł szarpnięcie.

– Co jest, mały? – spytał Alain. – Nie wiem...

– Pomóż mu – Gilles zniknął w rufówce.

– Coś ją trzyma – mruknął po chwili Irlandczyk. – Opuść trochę... O tak. Mogła zahaczyć o te resztki.

Albo coś jest na dnie – zacisnął szczęki.

Bęben drgnął i zaczął się obracać w odwrotną stronę.

– Zblokować?

– Nie.

Lina odwijająca się coraz szybciej i nikła w morzu.

– Alain, co...

Milczenie.

– Zluzowała – odetchnął Brendan. – Coś za sobą wlecze...

– Dobra – Irlandczyk oblizał wargi. – Wciągamy.

Skupieni patrzyli w zielonkawą toń, na przybliżający się, dziwny kształt.

– Święty Patryku...

– Niemożliwe – wyszeptał chłopiec. Zrobiło mu się słabo i zakręciło w głowie. – Wołam Gillesa!

– Nie.

Topielica nadziała się na kotwicę jak ryba na haczyk. Jedną z nagich piersi miała zgruchotaną, wyglądało to strasznie.

– Przecież mówiliście, że nie było żadnego statku, teraz... – jęknął Brendan.

Zwłoki były nienaruszone przez ryby.

Wtem martwa zsunęła się miękko z przebijającego ją ostrza. Znacząc fale czerwoną smugą, zaczęła łagodnie opadać na dno.

– To syrena, Brendan.

– Oszalałeś?!

– Miała rybi ogon.

– Jesteś stuknięty! – cofnął się o krok. – Idę po szypra...

– Co mu powiesz? Cisza.

– Nie uwierzy ci. Ja powiem, że nic nie widziałem.

Nic.

– Przed chwilą... – Brendan był coraz bledszy.

– Co? A może powiem, że też widziałem? Że, ha, ha, Gilles! Widziałem syrenę! – zaśmiał się szaleńczo.

Chłopak odwrócił się na pięcie. – Zbikowałeś od tego upału – rzucił przez ramię. Głos mu się drżał.

Irlandczyk stał przy burcie, twarzą zwrócony ku morzu. Brendan bał się. Postanowił nikomu nie mówić.

* * *

Ryby przestały brać. Jakby krew syreny odstraszyła je od kutra...

VI

Wtedy święty Brendan powiedział do swego sługi, który zwykł rozdawać braciom chleb: „Przynies posilek, jaki nam zesłał Bóg!”. On natychmiast powstał i znalazł stół, obrusy dziwnej, białości bochenki chleba dla każdego oraz ryby. Przyniósł to wszystko; święty zaś Brendan pobłogosławił posilek i powiedział do swoich braci: „Chwalcie Boga niebios, który daje pożywienie wszelkiemu stworzeniu „. Usiedli więc bracia i chwalili Boga. W podobny sposób znaleźli też tyle napoju, ile chcieli (...)

Wszystko było już za burtą: ser, suszona wołowina, resztki wczorajszego cotriade, a nawet konserwy – im też nie przepuścił.

Tego popołudnia wszyscy mieli czas wolny. Mogli zająć się swoimi sprawami i Alain skorzystał z tego:

wyrzucił całą żywność w morze. Puszki utrzymywały się na falach dłużej, niżli należało się spodziewać, a potem – jedna po drugiej, jakby na sygnał – tonęły.

Simon i Gilles otoczyli Irlandczyka. Nie bronił się.

Nie wykonał żadnego wrogiego ruchu, po prostu się poddał.

– Czemuś to zrobił?! – szyper dyszał nad nim.

Pochwycił Alaina za ramię i potrząsnął. – Co cię, kurwa, napadło!

– Tak trzeba było.

– Czemu?! – potrząsnął raz jeszcze, mocniej. Musiało zabołeć.

– Dla siebie, i dla was też. O tak – popatrzył na nich.

– Dla was też!

– Rozbił radio. Musiał to zrobić już wcześniej – wyszeptał chłopiec. – I ster też chyba uszkodził. Nie reaguje...

– Cholera – powiedział Simon. – Cholera jasna i tyle.

Nie wiem, co chcesz z nim zrobić Gilles...

– Nie bój się. Ja go...

– Brendan dopłynął do Wysp Szczęśliwych bez steru i pokarmu. Nadprzyrodzona ręka prowadziła go do Tir Tarngiri i byli tam ukochani zmarli – oczy Irlandczyka chorobliwie

błyszczały.

Chłopak rozkaszał się gwałtownie.

– Spójrz, Brendan – Simon stał tuż za nim. – Jeszcze alianckie puszki. Żeby tylko to zostało po tej parszywej wojnie...

* * *

Zamknęli go w małym składzie pod pokładem.

Potężny mężczyzna z trudnością się tam zmieścił, ale nie protestował, kiedy go doń wpychano. Zamiast tego uśmiechał się jak ktoś naprawdę szczęśliwy i milczał.

– Siedźcie tu i pilnujcie tego obłąkańca – nakazał szyper.

– Obaj?

– Czemu nie? Połów diabli wzięli.

– A ty, Gilles, co zamierzasz? – zagadnął Simon, sadowiąc się na podłodze.

– Muszę to przemyśleć. – Pozostawił ich samym.

– Mówię ci, Brendan, że będzie pił. Ja mu tego cholernie zazdroszczę – westchnął Simon.

– No... A jak Alain tam umrze? – szepnął chłopiec.

– Co ma umrzeć?! Naczytał się bzdur i mu odbiło!

Ale przejdzie. Jestem pewien. Wyspy Szczęścia... – zamilkł.

Brendan spuścił wzrok.

– To nie przeze mnie – powiedział cicho choć dobitnie. Simon wybuchnął śmiechem. Śmiechem nieszczerym, ale chłopiec nie zauważył różnicy. Oczy miał przymknięte i także myślał.

– Widziałeś, statek nazwał imieniem siostry... – zaczął Simon z innej beczki. Męczyły go własne lęki.

– Co w tym złego?

– Mógł go nazwać imieniem kochanki. Lub przyjaciółki. Inni tak robią.

– Jeśli nie miał żony...

– Ja zabrałem mu żonę! Przecież nie mógłby ożenić się z Catherine!

Brendan zaczerwienił się.

– Nie, to nie tak! Po prostu ją kochał, była wszystkim, co najdroższe...

Dobiegło ich głośne chrapanie Irlandczyka.

– Ha, wyszalał się! Spokojni ludzie mają głęboki sen, tak jak dzieci... – westchnął. – Przyjechał po nią do Paryża, Gilles znaczy, ale było już po wszystkim. Po tym jak jej ogolili głowę też. Wiesz, moja żona nie wyglądała jak Bretonka. A włosy miała w kolorze ciemnych, zasuszonych kasztanów. Kręciły się nawet wtedy, gdy były już obcięte. Nie mogłem rozpoznać mojej Catherine... – sięgnął do kieszeni i z porysowanej, pamiętającej lepsze czasy papierośnicy wyjął gotowego skręta. – Chcesz?

Brendan pokręcił głową. Simon spokojnie zaciągnął się dymem.

– Byłem wściekły, kiedy puściła mnie kantem. W dodatku dla Niemca! Dla wroga! Tak jakbym zresztą nie był równie zły o Francuza... Do cholery, była moją żoną! No i nasłałem na nią ruch oporu...

– Irlandczyk mi mówił.

– Domyślam się. Wiesz... Nie potrafię wybaczać.

Jestem komunistą i...

Chłopak dotknął go:

– Ale Gilles zabrał cię do siebie. Zamiast niej...

– Nie! Zabrał mnie, bo był jej bratem! Jeśli potrafisz zrozumieć różnicę.

Nagle coś bardzo ciężkiego z głuchym łomotem uderzyło o burtę. Gwałtownie zakołysało statkiem – chłopak upadł do przodu, boleśnie tłukąc sobie kolano.

– Wypuść go! – jęknął. – Biegnę na pokład!

* * *

Simon szarpał się z kłódką. Kiedy wreszcie puściła i mógł otworzyć klapę, Alain siedział przywalony szmatami, wiadrem, szczotkami i diabli wiedzą czym jeszcze. Od wstrząsu wszystko pospadało z haków.

– Wstawaj! – Simon podał mu rękę.

Tamten złapał ją i podciągnął ciało. Jego usta znalazły się blisko twarzy młodszego Żyda. Znow jakaś potężna siła zawinęła kutrem i pierwsze słowa Irlandczyka zgubiły się w szumie spienionej wody.

– ...by mieli się na baczności przed złem, także wtedy, gdy przemawia prawdziwie, tym

bardziej zaś wtedy, gdy fałszywie!

– Co ty gadasz?!

Twarz Alaina była nienaturalnie spokojna.

– Simon...

– Stary! Spływajmy na górę!

– Simon, chodźmy do Brendana.

VII

Pewnego zaś dnia oczom ich ukazał się ogromny potwór płynący za nimi w dużej odległości. Z nozdrzy wyrzucał on pianą i pruł fale z wielką szybkością, jak gdyby śpieszył się, by ich pożreć. Gdy bracia to spostrzegli, zawołali do Pana słowami:

„Uratuj nas, Panie, by nie pożarło nas to zwierzę”.

Święty zaś Brendan umacniał ich odwagę, mówiąc:

„Nie bójcie się, ludzie małej wiary. Bóg, który stale jest naszym obrońcą, uwolni nas z paszczy tego potwora i z innych niebezpieczeństw” (...)

– Tam! Patrzcie!

– Na Najświętszą Panienkę...

Nikt z nich nie wierzył własnym oczom. To coś wynurzało się z morza, by zaraz potem z jakimś dzikim rozpasaniem skryć się w nim na powrót. Wszystko powtarzało się raz za razem. Nurkujące z impetem cielsko wzbijało wściekle bałwany, które zalewały pokład lub rozbijały się o burzę.

– Cooo?! Kurwa, co to jest!

– To znak! Znak! To potwór morski! Myśmy coraz bliżsi!

– radośnie zapiął Irlandczyk.

Gilles uderzył go w twarz, ale Alain jakby tego nie poczuł. Podskakiwał i biegał w jakiejś dzikiej euforii.

– Jeszcze raz się otrze... – chłopiec był śmiertelnie blady.

– Podpływa! Skurwiel podpływa!

– Nie zatopi mojej „Catherine” – ślizgając się po mokrych deskach, niezgrabny i ciężki od przemoczonych ubrań, Gilles desperacko ruszył na dziób, gdzie spoczywał nieruszany od dawna harpun.

Wyrwał broń.

– Nie ruszajże tego! – zapiszczał Alain. Niezdarnie rzucił się na szypra.

– Precz! Precz ode mnie, bo łeb rozwałę! – Gilles wściekle kopał Irlandczyka.

Oniemiały Simon nie mógł ruszyć się z miejsca.

Celnie trafiony Alain skulił się nagle. Szyper wyminął go i przysunął się bliżej bukszprytu, mrużąc z determinacją:

– Nie wiem, czym ześ jest. Ale takiego wielkiego...

jesz – czym nie widział. – Przyjął najdogodniejszą pozycję do rzutu.

– No chodź. Chodź. Nie każ mi czekać...

– Patrzcie! Nadpływa jeszcze jeden! Spazmatycznie wciągając powietrze, Alain dźwignął się z pokładu. Chwiejnie stał na nogach.

– Gilles, nie! To niepotrzebne...

– Zabierzcie go w diabły!

Bez ostrzeżenia bestia z całych sił uderzyła w kuter.

Od wstrząsu Gilles przewrócił się i wypuścił harpun. A Alain wpadł do morza.

Zanurzając się, potwór potężnym pchnięciem ogona dosłownie rzucił Irlandczykiem o poszycie statku.

– Tonie! Człowiek za burtą!

Drugi z morskich gigantów z sykiem zanurzył się w ślad za pierwszym...

Kiedy Brendan i Simon wyciągali topielca, Gilles jak urzeczony spoglądał w dal, gdzie majaczyły sylwetki przerażających, walczących ze sobą olbrzymów.

Potem, nieprzyzwoicie szybko, wszystko się skończyło.

– Ten drugi odciągnął go od nas...

– Gilles, zgmiotło go na amen... Wszędzie krew...

Pełno ma jej w ustach i w uszach... Gilles?!

* * *

– Brendan.

– ...

– Brendan!

– Co?! Co?! Co?!

– Zostaw go. On nie żyje.

– Co?

– Umarł.

– Tak. – Puścił Irlandczyka, którego głowa bezwładnie opadła na deski. – To przez Tir Tamgiri, prawda? Te wielkie bestie...

Nie potrafili mu odpowiedzieć.

* * *

– Zabierz trupa do ładowni, Simon – poprosił Gilles.

– A ryby?

– Pieprzyć ryby!... Simon?

– Tak?

– Nie żałuj dla niego lodu, proszę...

– Nie będę żałował.

Simon zrobił jeden krok, ale zatrzymał się jeszcze.

– Czy to, co nas zaatakowało to były dorsze?

– Nie, dorsze są mniejsze Simon. Znacznie mniejsze.

– Ale... – poprawił okulary.

– I nie wyskakują z wody. Nigdy tego nie robią.

– Tak. Tylko myślę...

– Były bardzo podobne do dorsza.

Simon nerwowo dotykał drucianej oprawki.

– Chłopiec poszedł spać. Nie zatrzymywałem go – powiedział to bardziej do siebie niż do szypra.

VIII

„Jutro udaj się na brzeg morski i tam znajdziesz łódź, na którą wejdiesz i która cię zawiezie na miejsce, gdzie będziesz oczekiwał dnia twojej śmierci”.

Rano więc, zgodnie z planem świątobliwego ojca, udałem się na rzeczony brzeg i znalazłem to, co mi zapowiedział (...).

Tej nocy Brendan płakał. Nie po raz pierwszy i na pewno nie ostatni. Odkąd słońce zaszło był sam i znowu opadły go lęki z czasów dzieciństwa. Lęki przed duchami mroku.

– Jestem babą, zwykłą babą – łkał, rozcierając załzawione oczy.

Potwory nie wystraszyły go tak jak Simona. Ani nie spowodowały Gillesowego natłoku myśli. On już wiedział, że dopływają do Wysp Szczęśliwych. Tam, gdzie rezydują „ukochani” zmarli. Gdzie trzeba się do nich zbliżyć...

Czysta rozpacz oczyszczała go z tego obezwładniającego strachu. Strachu, że on będzie równie martwy jak Alain. I jak jego ojciec.

IX

Po trzech dniach i trzech nocach żegluga ustał wiatr i morze z powodu niezwyklej ciszy stanęło jakby skrzepnięte. Świątobliwy ojciec powiedział:

*„Wciągnijcie wiosła na statek i poluźnijcie żagle!
Niech Bóg prowadzi go, dokądkolwiek tylko pragnie”.*

(...)

Wiatr zamarł. Morze milczało, cały świat zapadł w letarg. Tylko słońce prażyło z podwójną siłą. Kiedy Brendan podglądał je zza palców i opuszczonych rzęs, wyglądało jak drgający złoty krążek.

– Boże, co z tą pogodą – zżymał się Gilles. – Jest za gorąco jak na ten miesiąc. Cała cholema Bretania jest taka: raz burza, to znów upał. Kiedy indziej zimny wiatr. Kompletna huśtawka – mówił tylko po to, żeby rozpędzić zniewalającą wszystkich ciszę.

– My nawet nie płyniemy do Bretanii – szepnął Brendan. Siedział na drewnianych schodkach, tuż przy ładowni.

Pociągając nosem mógł poczuć mdlący zapach rozkładu.

– Skończył się lód – chłopak podniósł oczy na szypra. – Doskonale wiesz, że nie płyniemy w stronę Ile-de-Seine.

– Nie wiem, dokąd płyniemy – szyper ukrył twarz w dłoniach. Był zmęczony i trzeźwy.

– Nie mamy co jeść. Te ryby nie nadają się do niczego.

– Przestań...

– Nie będę rybakiem! Nie ważne, czego chce matka – czuł się doroślej niż zwykle.

– Trzeba go pochować.

– Co z Simonem?

– Śpi. Cidre też już nie ma – zauważył ze smutkiem Gilles.

– Catherine boli go tak samo jak ciebie.

Szyper kołysał się lekko na piętach, jak małe dziecko.

– Dawno temu w Ile-de-Seine był pogański zakon.

Mała wierzyła, że żyły tam czarodziejki. Może i były czarodziejkami? Któż teraz dojdzie.

Catherine żałowała, że te tajemnicze kobiety odeszły, a ona nie może być jedną z nich. Tak chciała je poznać... Kiedy dorosła, nie zapomniała o swoim marzeniu. Nie przestała żałować... Zaczynam wierzyć w te Wyspy Szczęśliwe, Brendan. Prowadzisz nas do nich jak tamten, przed wiekami.

– To wasza wina – wstał i oparł się o nadburcie. – Ja nie zginę na morzu, choćby Bóg nie wiem jak się upierał!

– Nie czujesz się wybrany? – zapytał Simon, który pojawił się znikąd, cicho jak kot.

* * *

Zaszyte w całun z żaglowego płótna ciało zsunęło się po desce i chlupnęło do wody. Chłopak stał i patrzył, jak zwłoki robią się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu zupełnie znikną w zielonej otchłani.

– Znajdą nas. Znajdą nas z samolotu – rzekł Brendan.

– Nie uciekniesz, Jonaszu – Simon był skacowany. – Popłyniemy do Ziemi obiecanej.

– Znajdą! Nie zostawią nas.

Patrzyli na niego w milczeniu i z jakimś chorobliwym zaciekawieniem.

– Jesteście stuknięci!

– Możliwe.

– Albo i nie, Brendan.

Uciekł od nich. Chciał krzyknąć, ale nie śmiał. Bał się, że zrobią mu krzywdę.

Nic bardziej błędnego – był ich przepustką do rajów.

* * *

Nie mógł wytrzymać na pokładzie. Gnijące ryby śmierdziały jak wściekle. Chciał je wyrzucić, ale nie dał rady. Lepiły się do rąk, do narzędzi; mięso odchodziło od kręgosłupów pod byle dotykiem. Po drugiej albo trzeciej wyrzuconej szufli dostał mdłości i zakręciło mu się w głowie.

Nadpsute sardynki błyszczały w świetle wschodzącego księżyca. Brendan wyobrażał sobie, jak jego martwe ciało unosi się na falach, a księżycowa poświata otula je srebrzystym całunem.

X

Czcigodny ojciec rzekł do swych braci: „Niepokoi mnie ta wyspa; nie chcę tam płynąć ani nawet się do niej zbliżyć, ale wiatr pcha nas prosto na nią”. (...)

„Piaf?!” pomyślał oszołomiony Brendan. Po cichu zszedł do kubryku, skąd dobiegał śpiew. Stał w progu i spojrzał na Simona.

– Czemu nie nosisz okularów?

– Nie są mi potrzebne. Tylko mnie denerwowały – zmrużone, wodniste oczy mężczyzny przypominały chłopcu dwie lekko rozchylone ostrygi. Sam zaś Simon upodobił się do znużonych bywalców paryskich boites: wsparty łokciem o stół, oparł podbródek na dłoni. Nieświadom tego kiwał się, poruszając ciałem w takt muzyki, którą staroświecki patefon wydobywał ze schrypniętej płyty. – Przyznaj Gilles, że nie przystoi się dziś przejmować okularami?

– Prawda, bracie.

W ciasnej kajucie szyper niezdarnie tańczył, obejmując wymaginowaną partnerkę.

– Nie poddawajcie się temu – poprosił Brendan cicho. – Nie poddawajcie się...

– Ale my wierzymy – uśmiechnął się Gilles.

– To szansa i nie wolno nam jej zlekceważyć? – dodał Simon.

– Jaka szansa?!

– Widzisz mały, Bóg oddaje nam Catherine.

XI

Po czterdziestu dniach pod wieczór okryła ich tak gęsta mgła, że z trudem mógł jeden dojrzeć drugiego.

Szafarz zaś rzekł do świętego Brendana:

„Czy wiecie, co to za mgła?”

Święty Brendan rzekł:

„Co to jest?”

Wtedy ów odpowiedział:

„Ta mgła otacza ową wyspę, której szukacie przez siedem lat”.

Po godzinie żeglugi zabłysła wokół nich wielka jasność i statek stanął na brzegu. (...)

Mgła otoczyła ich zewsząd, wciskając się w najmniejszą szparę. Brendan otarł wilgotną twarz; nie widział nic na wyciągnięcie dłoni. Drżał ze strachu i podniecenia przed zbliżającą się tajemnicą.

– Chłopcze – Gilles stał gdzieś obok. – Gdybyś zobaczył...

– Nic nie da się zobaczyć w tym mleku.

– Gdybyś zobaczył coś takiego...

– Już dopływamy do nich, Gilles.

– Daj nam znać.

– Tak – Brendan zamknął oczy, a potem odetchnął głęboko.

Zauważył, że ryby przestały śmierdzieć.

* * *

Ledwo ją widział, lecz był przekonany, że łódź jest dokładnie taka jak się spodziewał: drewniane żebra i ramy, obciążone wygarbowanymi i wyfłuszczonymi skórami wołów.

Słyszał jak płynie – woda miękko rozbijała się o jej burtę.

Usłyszał głos Alaina, kiedy starożytna łódka otarła się o poszycie kutra.

„Cześć, mały”.

– Odejdź – rzekł Brendan. „Tak witasz starego druha?”

– Odejdź.

„Myślę, że tamci chcą się ze mną zobaczyć”.

– Wynoś się! – serce chłopaka tłukło się jak opętane.

„Żegluga dobiegła końca, mały”.

– Z kim rozmawiasz Brendan? – zapytał Gilles.

Chłopak z trudem dostrzegał jego sylwetkę: kłęb ciemniejszej mgły o kształcie szypra. Mężczyzna ruszył ku swemu przeznaczeniu.

– Mój Boże, a więc to prawda... – głos szypra drżał leciutko. Była w nim nadzieja, a także wielka ulga.

„A co żeś myślał?” – dobiegło z mgły.

– Chodź na pokład – poprosił Gilles. „Nie mogę. Ale ty możesz przyjść do nas”.

– Mogę... „Chodź”.

– Nie wiem.

„Ona tam jest, nie musisz nic więcej wiedzieć”.

Gilles zrobił dwa kroki do przodu, gdy zatrzymała go dłoń chłopca. Brendan zacisnął palce na jego koszuli:

– Nie masz wątpliwości?

– A czemu miałbym mieć. To sprawa Boga – odparł bez wahania.

– A jeśli nie?

– Cóż...

– A jeśli nie?! – Brendan szarpnął szypra za ubranie.

Obie łodzie kołysały się obok siebie. Alain czekał i nie popędział – był cierpliwym przewoźnikiem.

– Catherine to dobra dziewczyna.

– Była dobrą dziewczyną!

– Jest. W tym życiu nic złego nie może jej już spotkać.

I nie spotka... – Gilles uwolnił się delikatnie ze słabnącego uchwytu. – Nie widzę cię, Alain!

„Jestem tutaj. Chodź, to potrwa tylko chwilę”.

Łódka z szyprem na pokładzie zniknęła we mgle.

Morze nadal było spokojne.

* * *

Brendan, wlokąc się noga za nogą, zszedł pod pokład. Edith Piaf już nie śpiewała.

– Simon? Milczenie.

– Simon, czemu nie popłynąłeś?

– Bałem się – na chwilę odwrócił głowę ku chłopcu.

– Przecież chciałeś – stwierdził łagodnie Brendan.

– Nie wybaczyłem jej jeszcze – przyznał się jakby ze wstydem. Szczęki miał mocno zaciśnięte, przez co wymawiane słowa brzmiały niewyraźnie. – I pewnie ona też mi teraz nie wybaczy...

– Alain wróci. Po ciebie.

– Nie! – zaprotestował Simon, podrywając się ze stołka.

– Wiem, że wróci – Brendan przycupnął oparty o kant stołu.

– Kocham Catherine – załkał Simon. Był bardzo blady.

– A widzisz – Brendan czuł znużenie. Chciało mu się spać. – Co?

– Wybaczyłeś jej. Mężczyzna westchnął.

– Simon. Może pora, by wybaczyć sobie? Ale tamten już nie zareagował. Nasłuchiwał.

– Co się dzieje, Simon?

– Tam – mężczyzna zamrugał i odruchowo musnął nasadę nosa. – Tam jest.

– Co?

– No tam!

– Gdzie?

– Tam! Och...

* * *

– Jej włosy, ma takie włosy jak dawniej – wyszeptał Simon, składając usta jak do pocałunku.

– Nie, są piękniejsze... Idę. Przyszła po mnie.

– Tu nic nie ma. Nikogo nie widzę, nie słyszę...

– Przestań, mały! Słuchaj tu – dotknął lewej piersi. – Tu usłyszysz – śmiał się.

- Simon...
- Trzymaj się, Brendan.
- Simon – podszedł do niego. Trzymał coś, co zagarnął z blatu. – Zapomniałeś o nich...
Na wyciągniętej dłoni leżały druciane okulary.
- Nie. Widzę lepiej niż kiedykolwiek – wyszczerzył zęby.
- Tak je porzucisz?
- Cóż, daj – westchnął. Niezdarnie pogłaskał chłopca po głowie, po raz ostatni.
Brendan nie zatrzymywał go. Domyślił się, że teraz musi pozostać sam. Czekał.

* * *

Poczuł dotyk.

I ciepło.

A w końcu woń ryb zmieszana z zapachem wody po goleniu.

– Myślałem, że nie wolno wam tu wchodzić...

„Brendan?”

– Cześć tato.

„Matka wie, że tu jesteś?”

– Ona mnie tu wysłała. „Nie, nie wysłała cię tutaj”.

– Nie będę rybakiem. „Może, ktoś to wie”.

– Wy nie wiecie? „Nikt nie wie”.

– Aha.

– „Nie płacz”.

– Nie płaczę.

„Czuję, kiedy płaczesz”.

– Nie, nie czujesz! „Czuję”.

– Matka nie potrafi o tobie zapomnieć. „To dobra kobieta”.

– Mnie też nie pozwoli zapomnieć! Nie ma cię, a jesteś! „Jestem, a mnie nie ma”.

– Co?

„Może zrozumiesz”.

– Nie chcę tu zostawać. Nie chcę umierać. „Brendan, synu...”

– Tak?

„To Wyspy Szczęśliwe. Nikt nie będzie cię zatrzymywał”.

– Tato?

Wokół było bardzo cicho.

– Bardzo chciałem wiedzieć, czy dopłynąłeś do jakiegoś portu...

„Więc wiesz”.

– Wiem.

„Płyn już. Przed tobą długa droga”.

– Ale dokąd? „Tutaj, z powrotem”.

Raptem wszystko zniknęło – mgła też.

– Do zobaczenia – powiedział Brendan w ciszę. – Wrócę.

XII

W dniu Pańskim po złożeniu Świętej Ofiary na ołtarzu, święty Brendan rzekł do tych, co wokół stali:

„Polećcie Bogu w swych modlitwach moje odejście z tego życia „.

Briga rzekła:

„Ojcie drogi, czegoż miałbyś się lękać?”

„Lękam się – powiedział – gdyż odchodzę zupełnie sam, a podróż jest mroczna. Boję się nieznanej krainy, oblicza Króla, wyroku Sędziego”. (...)

Wyszedł na zewnątrz – położył się i przylgnął twarzą do wilgotnych desek pokładu. „Catherine” dryfowała powoli. Przez sen czuł jej leniwe kołysanie, a przecież wydawało mu się, że spał głęboko.

Wysoko nad głową słyszał warkot helikoptera.

– Znaleźli mnie – powiedział na głos, ale nie otworzył oczu. Wiele rzeczy chciał jeszcze przemyśleć.